

EUGENIUSZ SAKOWICZ

*UKSW*

*Warszawa (Polska)*

**DIALOG MIĘDZYKULTUROWY I MIĘDZYRELIGIJNY  
W SZKOLE.**

**NA MARGINESIE OGÓLNOPOLSKIEJ KONFERENCJI  
NAUKOWEJ *PEDAGOGIKA – KULTURA – DIALOG.*  
*MIĘDZY NEGACJĄ A AFIRMACJĄ (WARSZAWA,  
2-3 GRUDNIA 2010 R.)***

W wakacje 1981 roku przebywałem w Wielkiej Brytanii. Udało mi się otrzymać stypendium na naukę języka angielskiego w Torquay International School w Południowym Devonie. Małe miasteczko Torquay to niczym polski Sopot – miejsce niezwykle popularne, drogie i również – mimo popularności i drożyzny – urocze. Największe zdziwienie wywołały u mnie palmy rosnące w tym mieście. Podobne zdziwienie widzę w oczach obcokrajowców, kiedy podziwiają oni palmę na Rondzie Charles’a de Gaulle’a w Warszawie. Brytyjskie palmy nad Kanałem Francuskim – La Manche wyrosły dzięki ciepłym prądom morskimi przepływającym na południowym-zachodzie Anglii. Moimi kolegami i koleżankami w grupie w owej szkole w Torquay byli przedstawiciele niemal wszystkich „stron świata”. Nie ukrywam po latach, że moja obecność, jako jedyne Polaka w tej instytucji szkolnej, wzbudzała powszechne i duże zainteresowanie, nie z powodu mojej atrakcyjności, ale z racji na „wybuch” „Solidarności” i przewidywanie przez studentów szkoły nieprzewidywalnych zmian w środkowo-wschodniej Europie, skąd na Brytyjskie Wyspy przybyłem.

Po zakończonym kursie językowym, w drodze do Londynu (na Heathrow miałem zabukowany odlot do Warszawy), zatrzymałem się na dwa dni w Fawley Court koło Henley nad Tamizą. Czułem się w tym miasteczku „jak u siebie w domu”. Dom, właściwie niewielki pałac w wielkim angielskim parku w tymże Henley, był wówczas własnością zgromadzenia zakonnego księży marianów, z którym byłem od dzieciństwa zaprzyjaźniony. Marianie uczyli mnie katechezy w Grudziądzu nad Wisłą i oni byli – jako spowiednicy – „słuchaczami” moich młodzieńczych grzechów.

To w Fawley Court nieopodal Henley nad Tamizą ogarnęło mnie kolejne zdziwienie, jeszcze większe od tego, kiedy spoglądałem na palmy „na wolności”, a nie w oranżeriach, w mieście Torquay. Na głównej bramie, przez którą wjeżdżało się (i oczywiście wchodziło) do posiadłości księży marianów, widniał wielki szyld. Wielkimi literami na tej wielkiej tablicy wypisano nazwę szkoły. Nie, to nie napis sprawił mnie w zakłopotanie czy wręcz osłupienie. Przecież Polacy zawsze byli w Anglii i pewnie zawsze tam będą. Będą też mieli prawo mówić po polsku, pisać po polsku i malować szyldy po polsku. Ogromnym zaskoczeniem był fakt, kiedy nieopodal tego – powiedzmy dzisiejszym językiem – bilbord, na boisku szkolnym zauważyłem uczniów polskiej szkoły – w zdecydowanej większości ciemnoskórych (śniadych, czarnych, po prostu kolorowych) – grających w piłkę. Polskie kolegium dla młodzieży z całego świata! Szkoła ta zapelniona była nie tylko katolikami (Polak-katolik to brzmi dumnie!), ale też Hindusami-hinduistami (przecież Hindus-hinduista też brzmi dumnie!), pewnie też Pakistańczykami-muzułmanami (a dlaczego Pakistańczyk-muzułmanin nie miałoby brzmieć dumnie?), a także czarnoskórymi (na pewno są oni dumni ze swojego koloru skóry, chyba że biali wpędzili ich w kompleks). Ci ostatni wypadaloby, żeby byli protestantami, chociaż niekoniecznie. Ówczesny dyrektor tego Kolegium był kolegą z klasy Wojtka Jaruzelskiego (tak, Wojtka, bo przecież młodzieniec przed tzw. małą maturą przed II wojną światową to raczej Wojtek niż Wojciech). Ci chłopcy uczyli się w innym Kolegium Księży Marianów, w budynkach późniejszej Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie na Bielanych. Wszyscy do-

skonale to miejsce znamy. To Kolegium w Fawley Cort koło Henley było w pewnym sensie dziedzicem Kolegium znajdującego się w pokamedulskim bielańskim kompleksie. Bardzo dużo mówił mi ów rektor o swoim koledze, późniejszym generale. Te wspomnienia i informacje, które od marianina – szkolnego towarzysza przyszłego Towarzysza otrzymałem były dla mnie niezwykle cenne. Uświadomiłem sobie wówczas, że wiedza to skarb, szczególnie ta wiedza, o której niewiele wie.

Dyrektor Kolegium Marianów zaproponował mi podjęcie pracy w tejże multietnicznej, multikulturowej, multireligijnej szkole. Miałem poprosić władze KUL w Lublinie nad Bystrycą o roczny urlop dziekański, by stać się wychowawcą w świecie pluralizmu kulturowego i religijnego pod polskim-katolickim szyldem. Los chciał inaczej i dzięki temu losowi, który zawsze chce inaczej, jestem tu, gdzie jestem.

\*

Szkoła zawsze była przestrzenią spotkania różnych kultur i religii. W ogóle instytucja „szkoły” jako takiej kształtowała się w wyniku spotkania się wielorakich, różnorodnych w genezie, proveniencji nurtów czy prądów kulturowo-religijnych.

Tytuł mojej refleksji, brzmiący: *Dialog międzykulturowy i międzyreligijny w szkole*, jest bardzo ogólny. Stwarza dość poważne trudności metodologiczne. O ile nie powinno być wielkich kłopotów ze zdefiniowaniem pojęć: „dialog międzykulturowy” oraz „dialog międzyreligijny”, o tyle okolicznik miejsca „w szkole”, generuje szereg znaków zapytania. O jaką szkołę chodzi – wyższą, średnią, podstawową, a może przedszkole, które jest w pewnym sensie pierwszą szkołą, jej zapowiedzią? W jakim środowisku kulturowym i religijnym jest ta szkoła usadowiona? A może w centrum zainteresowania powinna pojawić się szkoła w ogóle, jakaś idea szkoły, a nie szkoła konkretna?

Wskażę na początku na najbardziej ogólną, intuicyjną definicję szkoły, którą może podać chyba każdy w miarę myślący człowiek, absolwent takiej czy innej szkoły. A każdy abiturient powinien być człowiekiem myślącym, bo szkoła nie ma właczać informacji w nieuksztaltowane jeszcze osobowości, lecz uczyć myślenia. Stanowi ona rzeczywistość

konkretną, jest miejscem, w którym uczniowie i uczennice spotkają się z nauczycielem. Spotykają się również ze sobą. Szkoła stawowi zatem specyficzną komunie – *communio personarum* powiedzieliby dzisiejsi czytelnicy dzieł Karola Wojtyły/Jana Pawła II. Chciałbym powiedzieć, iż szkoła jest też komuna, lecz nie powiem, gdyż boję się totalitarnych skojarzeń. Pozostanę przy „komunii”.

Szkoła to miejsce uświęcone, a zatem w pewnym sensie sakralne, chociaż dawno już o sakralności szkoły zapomnieli ci, którzy ją stanowią. Najwybitniejszy religioznawca XX wieku, Rumun i obywatel Stanów Zjednoczonych, twórca chicagowskiej szkoły morfologii religii, nie miałby oporów we wskazywaniu religijnych archetypów w szkołach dzisiejszych, nawet komunistycznych czy postmodernistycznych. Tylko człowiek niewykształcony boi się religii czy nawet jej przeżytków. Szkoła jest uświęcona trudem poszukiwania prawdy przez uczniów i przekazywania prawdy przez nauczycieli. W tym miejscu stawia się wszystkie i wszelkie pytania: o człowieka, o jego miejsce „tu i teraz”, w dziejach i państwie, w mieście i domu, w kosmosie, w kulturze, w religii – w całej złożonej rzeczywistości życia. Fundamentem szkoły są jej mistrzowie-nauczyciele i ich uczniowie.

Nie ma kultury bez szkoły. Co więcej, nie ma religii bez szkoły. Mówiąc językiem symbolicznym, wręcz poetyckim można postawić wyrażnie tezę: kultura jest szkołą, szkołą jest również religia. Szkoła ujawnia swój uniwersalny wymiar poprzez afirmowanie wartości ogólnoludzkich. To nie są jakieś utopijne wartości ze sfery *science fiction*. Miłość, prawda, prawo i sprawiedliwość, obywatelskość, to nie są terminy „zakurzone”, „zaśniedziałe”, wyjęte ze słownika pojęć przebrzmiałych, nienowoczesnych. Wartości ogólnoludzkie rozumie i Polak, i Żyd, Pigmej Bambuti oraz Eskimos, który chętniej siebie nazywa Inuit.

Brzmienie słowa „szkoła” podobne jest do brzmienia słowa „schola”. Jest to w pełni zrozumiałe – język polski ukrywa w sobie szereg łacińskich terminów, sensów, semantycznych odniesień, które budowały cywilizację łacińską (a placami budowy tejże cywilizacji były szkoły). Tak jak w scholi uprawniona, wręcz wskazana jest obecność różnych głosów, tak samo bogactwem szkoły, jej harmonią jest obecność w niej

różnych osób żyjących na sposób określonej kultury, a także kierujących się zasadami wiary i regułami obyczajowości specyficznej dla danej religii. Szkoła stanowi wyjątkowy, oryginalny (niesfałszowany) kulturowy areopag.

Sformułowanie „chodzić do szkoły” wskazuje z jednej strony na dynamiczność, dynamikę, kreatywność „chodzący” i stabilność, stateczność, mocne zakorzenienie instytucji szkolnej. To nie szkoła chodzi, lecz chodzą uczniowie. Szkoła niewzruszenie trwa, funkcjonuje nawet wtedy, kiedy niebo „wali się” i rozlatuje, a ziemia się trzęsie w swoich posiadach (w czasie okupacji, w obozach koncentracyjnych – tak, w obozach śmierci profesorowie i nauczyciele prowadzili wykłady i lekcje dla niewolników; wykłady te czyniły ich wolnymi w domach niewoli, wyprowadzały z domów niewoli, chociaż najczęściej końcem była śmierć). Szkoły z powołania winny być domami wolności. Funkcjonariusze totalitaryzmu (różnej maści i różnej „barwy”) uwielbiali ogniska rozpalane z książek, a zniewolone umysły polityków, posługujących się bombowcami, najchętniej zrzucały bomby na biblioteki narodowe, akademickie.

Chodzący do szkoły nigdy nie pozostają w miejscu. Pokonują nie tylko drogę z domu do szkolnego budynku, ale nade wszystko przemierzają niełatwe trasy zdobywania wiedzy i mądrości, pokonywania swojej ospałości i obojętności wobec trudu i cierpienia związanego ze zdobywaniem prawdy, z budowaniem siebie, swojej kultury i religii także.

W dzisiejszym świecie Zachodu rozliczne szkoły posiadają charakter wielokulturowy i multireligijny. Spotykają się w nich dzieci i młodzież pochodzące z różnych domów, wywodzące się z mniejszych areopagów kulturowych oraz religijnych. Użyty przeze mnie czasownik „spotykają się” wskazuje na dialogiczną misję szkoły. Spotykanie i spotkanie ludzi różnych mentalności, reprezentujących różne sposoby i style bytowania (czyli różne kultury), reprezentujących różne religie (a każda spośród nich uważa, że jest najważniejsza, jedynie prawdziwa, najpiękniejsza, jedynie zbawcza, jedynie uniwersalistyczna), jest podstawowym wyrazem dialogu. Każdy dialog, w tym interesujący nas dialog międzykulturowy i międzyreligijny, zaczyna się od spotkania. „Bycie razem” w szkole jest pierwszą szkołą uczenia się dialogu.

\*

Bogactwem szkoły jest różnorodność przekonań jej uczniów. To właśnie w szkole ujawnia się pierwsza forma dialogu międzykulturowego i międzyreligijnego, którym jest dialog życia, zwany też dialogiem codzienności czy też dialogiem w codzienności. Dialog ten nie polega na wymianie poglądów, prowadzeniu dysput z zakresu kulturoznawstwa, religioznawstwa czy też teologii. Dzieci nie są zainteresowane polemikami doktrynalnymi. Niech dysputy te prowadzą eksperci czy specjaliści, których nie brak w świecie różnych religii. Uczniowie uczą się natomiast szacunku wobec siebie samych i wobec innych, którzy nigdy w tej samej szkole nie są postrzegani jako obcy. Zawsze są swoimi. Dialog życia to dzielenie czasu wspólnie spędzanego w tym samym miejscu – w szkole. To zabawy, rozmowy, żarty (tak żarty, a nawet „figle”), to również dziecięce spory czy młodzieńcze kłótnie, przekomarzania się, mające za przedmiot nie tematy doktrynalne, lecz ważne sprawy życiowe młodego człowieka. Dialog ten oznacza wspólne (wracam do pojęcia „komunia” i je akcentuję) radowanie się, świętowanie np. urodzin czy też okazywanie życzliwości wyznawcom innych religii w dniach ich świąt i uroczystości religijnych. Dialog ten polega też na okazywaniu współczucia w sytuacjach losowych doświadczeń, przeżywanych bardzo mocno przez koleżanki czy kolegów.

Szkoła jest również przestrzenią tzw. dialogu dzieł, czyli – mówiąc językiem „profesjonalistów” – dialogiem społecznego zaangażowania. Ta forma dialogu wyraża się we wspaiałomyślnym zaangażowaniu dzieci i młodzieży (na miarę ich dojrzałości osobowościowej i rozeznania) w pełnienie działań, czynów promujących dobro w wymiarze społecznym. Młode pokolenie, posłuszne autorytetowi nauczyciela, uwrażliwia się na krzywdę, której doświadcza drugi człowiek. Krzywda drugiego, jego cierpienie i nieszczęście winny być w sensie psychologicznym moją krzywdą, moim cierpieniem i nieszczęściem. Zdobywanie wiedzy o społeczeństwie to teoretyczne przygotowywanie się do społecznej pragmatyki. „Życie ludzkie ma sens przez swoją treść dla innych” – powiedział mi tę złotą myśl blisko czterdzieści lat temu inny marianin,

który będąc sługą całego zakonu nazywany był „generałem”. Młodzi ludzie – reprezentujący różne kultury i wyznający inne religie – wiedzą, że dobro człowieka, jego prawa (ale i obowiązki) nie są uzależnione od tożsamości etnicznej czy kulturowo-religijnej drugiego człowieka.

Dzieci i młodzież uświadamiają sobie jasno, dzięki światłym nauczycielom (o jasnych, a nie mrocznych poglądach), iż o ich wartości nie stanowi kultura czy religia, ale człowieczeństwo. Niezmiernie ważną rolę odgrywa w każdej szkole nauczyciel. Winien on być wzorem, uosobieniem, „wcieleniem” niezadawania przemocy, czyli promotorem dialogu, porozumienia, mądrze rozumianej tolerancji. Ma być mistrzem dialogu, przewodnikiem dialogu. Zakorzeniony we własnej kulturze, wierny jej wartościom, żyjący swoją religią, stanowiącą życiowy stosunek człowieka do istoty Ponadziemskiej, będzie świadkiem autentyczności. Będzie uczył życiowego stosunku człowieka do człowieka oraz będzie pozwalał żyć uczniowi na sposób określonej kultury. Autorytet nauczyciela to probierz dialogu szkolnego.

\*

Jednak to nie kultury i religie prowadzą dialog w szkole. Stronami dialogu są uczennice i uczniowie, zakorzenieni we własnej kulturze i religii, wierni im, nie wstydzący się kultury i religii – wiary ojców i matek, języka ojczystego, ale też macierzyńskiego odczuwania rzeczywistości. Nie czuję pompatyczności w stwierdzeniu: szkoła to brzmi dumnie. Nie czuję pychy, bo wypowiadam w pokorze te słowa: szkoła uczy pokory, czyli prawdy o świecie, o człowieku, o społeczeństwie, o dialogu i właśnie dlatego szkoła to brzmi dumnie.